

## Szklanka w połowie czeska II — henrykinho

**Od autora:** Jest to historia opowiedziana mi kiedyś przez pewnego czeskiego emigranta, którą spróbowałem poskładać do kupy.

Część I - <http://www.portal-pisarski.pl/czytaj/45613/szklanka-w-polowie-czeska-i>

---

Czego może spodziewać się Czech, który po wciśnięciu sobie do kieszeni pliku dokumentów legalizujących pobyt w USA, wybiega rankiem na ulicę? Promieni słońca obryzgujących zmęczoną, tęskniącą za alkoholem twarz? Taksówek oświetlających wodą z kałuż dopiero co wyprany prochowiec? Fali błota katującego buty, które nie nawiązały żadnych interakcji z pucybutem od czasu datowanego na „nigdy”? Gradu, kurna, knedliczków?

Blisko.

Czech widzi najpierw klamkę skierowaną prosto w swą szeroką, rozedrganą szczękę. Rozedrganą najpierw w szczerym uśmiechu, a następnie w jeszcze szerszym zakłopotaniu, będącym wyrazem ostatecznego zrozumienia nieuchronności nadciągającego fatum. Parszywe, parszywe to tchnienie losu. Oto bowiem sam los zionął mi w gębę wonią przejrzałego czosnku, zmieszanego z jeszcze poważniej przejrzałą cebulą. Wpadłem w stan, który poprzedza oddanie moczu przez ujście w nogawce. Wtedy to właśnie wszystkie zęby zespalają się w tańcu nazywanym „kankanem trwogi”, a brzuch starannie uciska opaska sklecona ze złych przeczuć.

Żałowałem, że moje pierwsze, pachnące dziewiczym prochem, doświadczenie z bronią potoczyło się w ten sposób. W końcu miałem zamiar kupić sobie, kiedyś-kiedyś, za niezmiernie długi okres pełen finansowych rozsad, być może podparty lub osłabiony jakąś drobną, hazardową przygodą, rewolwer kaliber solidny, jednak przestałem marzyć o tym w sekundę. Właśnie przez ten jeden, gęsty od absurdu poranek. Akurat, gdy coś mi się wreszcie udało. Akurat, gdy American Dream wkroczył w fazę REM.

Bywa.

Czarny koleżka celował we mnie spluwą wykręconą pod wymyślnym kątem i domagał się czegoś głośno, natarczywie, jakby nie dostrzegając, że ma przed sobą bezrozumnego, acz poczciwego neandertalczyka z Europy jeszcze-Centralnej.

Ja i mój dyplomatycznie usposobiony czeski nie mogliśmy za wiele zaradzić, tym bardziej że mowę i tak odebrał mi wylot lufy, jakby podpowiadając, że czas na tłumaczenie albo się skończył, albo, co bardziej prawdopodobne, nigdy nie zaczął. Mój problem, o czym nie wiedział ten młody, acz nieco agresywny businessman, należał do problemów gatunkowo najcięższych. Było to przewinienie dla światka przestępczego haniebne, niedopuszczalne, wręcz żenujące. Słowo „splukany” pasowało do mnie wtedy bardziej niż do kogokolwiek na planecie. Nie mam pojęcia, co by się działo, gdyby nie międzynarodowy system mimiczny, który opanowałem w stopniu dostatecznym: przejechanie palcem po szyi, wyciągnięcie cesarowego kciuka lub ostatnie, pokiwanie głową na znak protestu i potarcie palcami o siebie. Znaki Morse'a dla ubogich idiotów, czyli dla mnie, faceta tłumaczącego, że nie ma nabitej kabzy, że ona nie wystrzeli niezależnie od natężenia gróźb, że mimo poderżnięcia mi gardła nie stanę się nagle kolorową piniatą tryskającą amerykańskimi Bożkami.

Zielonego mleka nie będzie, bracie. Nie z tej krowy, bracie.

Nigdy nie zapomnę spojrzenia, którym po mych nędznych, niemych pertraktacjach obdarował mnie tenże dumny, niepokojąco hebanowy złodziej. Była to kwintesencja pogardy, wiązka zdziwienia i absolutnego niedowierzania, gotowa wypalić mi nie tylko oczy, ale i serce, tak silne posiadała bowiem promienie.

Oto więc gość w karykaturalnie dużym kapturze zobaczył naprzeciwko człowieka gorszego od siebie. Zastanawiał się z pewnością, jakim tępakiem i osłem trzeba być, żeby nikczemniej się w życiu ustawić od niego, desperata mierzącego w biały dzień bronią przeznaczoną chyba do odstrzału samców hipopotamów. I rozumując zapewne zgodnie z tym tokiem, odniósł się całym „ja” do najdokładniej ukrytych pokładów swego człowieczeństwa, nabierając zeń haust pleśniejącego poczuciem wyższości powietrza, w ostateczności przedłużając mi, jednostce oczywiście pechowej, do cna zepsutej żalością, bilet na egzystencję.

Odszedł sobie ot tak, po prostu. Nawet nie warknął. Nie odwrócił się. Szkoda mu było. Szkoda czasu i... zakurzonego brakiem perspektyw Czecha.

A ja, przestraszony, jakby wżeniłem się podeszwami w środek opuszczonej, brooklyńskiej ulicy. Przestraszony, a potem wkurzony. Mógłbym stopniować poziomy gniewu jeszcze bardziej, poszerzając paletę irytacji aż do granic słowiańsko-języcznego wszechświata, jednak sobie oszczędzę.

Dosyć. Wystarczy.

Po tym, jak pot już zupełnie wylizał mi pachy, a słońce wydarło się, że, cytuję: „Już jest dzień, głupcze, nie stój tak, jak ćwok, nieporadny tuman!”, zdecydowałem się natychmiast coś w życiu zmienić. Wiem, że nierozsądnie to brzmi, a już na pewno mało efektywnie, gdy ktoś napiera na zwrotnicę losu zaraz po tym, kiedy ktoś inny plunie mu w twarz. No ale cóż, chyba nie miałem wyjścia. Każdy dostaje taki otrzeźwiający prysznic, na jaki zasłużył.

Pogodziłem się z tym.

Tak spłynęła ze mnie ostatnia kropla śliny wytłoczona z ust Boga-Kpiarza. Nastąpił właśnie słynny, przełomowy moment mego czeskiego bytu.

Brooklyn zapachniał przygodą.

\*\*\*

Znalazłem pracę.

Gdy podejmujesz robotę w barze prowadzonym przez faceta z Bałkanów, musisz liczyć się z paroma rzeczami. Możesz dostać w pysk. To raz. Możesz też zadrzeć z Albańczykami. To dwa i to takie dwa, po którym nie masz szans na żadne trzy, cztery ani sto swojego życia. Licznik się zatrzyma. Klepsydra upadnie i rozbije się o brudne kafelki w brudnym kiblu. W jednym momencie żyjesz, a w drugim umierasz zadźgany bądź rozstrzelany w chwili, w której będziesz próbował wyrzucić śmieci do kontenera znajdującego się w zacienionej części jakiejś ślepej uliczki. Cholera, ci chłopcy nie potrzebowaliby nawet cieńka. Ani uliczki. Mógłbyś poskładać się niczym najbardziej teleskopowy akordeon cygański na świecie,

tuż naprzeciwko komisariatu policji na sześćdziesiątej czwartej, a nikt nie kiwnąłby nawet kaburą. Przybysze z Albanii nie wydadzą swojego, prędzej zdmuchną przypadkowego gliniarza z drogówki, o czym nowojorscy stróże bezprawa świetnie wiedzieli. Małe wojenki dźwięczących dziwacznie białasów w ogóle ich nie obchodziły. Nie kosztem życia. Zdrowia. Wysiłku. Czego-kurna-kolwiek.

Fred.

Nazywał się niby Fred. To jedyna jankeska rzecz, jaką miał w sobie szef pubu „Flat Tire”, gdzie udało mi się zaczepić i skąd poczęstowano mnie pierwszą w Nowym Świecie wypłatą. Poza tym facet pachniał, gadał i pierdział jak typowy Albaniec, jeden z tych, którzy myślą o obywatelstwie jak o kwestii zmiany nazwiska, imienia czy flanelowej koszuli. Mylą je z kartą biblioteczną. Już pierwszego dnia po przyjeździe kupił sobie amerykańską flagę, nauczył się hymnu w wersji niezwykle ubarwionej problemami językowymi i osiadł w klasycznej przyczepie campingowej, co, jak się wydaje, przydało mu jeszcze większych znamion charakterystycznych dla twardziela z południa, który pół życia spędził na kąpielach w Mississipi.

Ale prawdę mówiąc to był taki, jak my wszyscy. Zawszony emigrant. Swój swego nie zmyli. Krochmal pewnej zaciętości, wywodzącej się z minionej ery pełnej walk i starań o lepsze jutro, lepsze pieczywo w sklepie czy też lepszą chatę, ciągle zionął z jego starannie wyprasowanych T-shirtów.

Pewnie dlatego nie pozwolono mi sprawdzić się jako zwykły barman, kelner, a w najgorszym wypadku - pomywacz. Moje umiejętności miały przydać się w bardziej niekonwencjonalnym otoczeniu. Takim, w którym można wiele stracić albo jeszcze więcej zyskać. Prędko zrozumiałem, że w zasadzie obie te wersje mogą zadziałać synchronicznie. Niczym dwójka dumnych, ale też wielce zastraszonych chińskich gimnastyków.

Brooklyn zaśmierdział przygodą.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

henrykinho, dodano 18.04.2014 18:01

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).